

Niebo ze stali

Opowieści z meekhańskiego pogranicza

Robert M.
Wegner

Niebo ze stali

Opowieści z meekhańskiego pogranicza



powergraph

Warszawa 2012

Copyright © 2012 by Robert M. Wegner
Copyright © 2012 by Powergraph
Copyright © 2012 for the cover by Rafał Kosik
Copyright © 2012 for the map of Meekhan by Jolanta Dybowska
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Michał Cetnarowski, Kasia Sienkiewicz-Kosik
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Ilustracja na okładce: Rafał Kosik
Projekt graficzny serii i opracowanie: Rafał Kosik
Mapa na wyklejce: Jolanta Dybowska

Wyłączny dystrybutor:
Firma Księgarska Olesiejuk Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. 22 721 30 00, fax 22 721 30 01
www.olesiejuk.pl, e-mail: fk@olesiejuk.pl



Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel./fax: 22 834 18 25, 22 834 18 26
powergraph.pl, sklep.powergraph.pl, e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-61187-41-7

Printed in Poland, EU

Prolog

Chłopiec stoi w mroku i wodzi wzrokiem po około trzydziestu twarzach. Należą do innych dzieci, większość z nich jest w jego wieku. Dni smutku ledwo się skończyły, niemal wszystkie twarze noszą ślady białej farby; tylko kilkoro dziewcząt przewiązało jeszcze włosy na znak żałoby. Nie znaty innego sposobu, by okazać uczucia. A teraz to...

Patrzy na nich spokojnie. Pochodzą z różnych klanów i szczepów, ale we wszystkich są najstarsi i przez ostatnie lata stali się przywódcami reszty.

— Straciliśmy większość młodych wojowników — zaczyna i obserwuje, żadna twarz się nie krzywi, w żadnych oczach nie zapala się sprzeciw. — Plemiona będą przez wiele lat słabe, a jednak zrobiły to, co zrobiły.

Zaciska dłonie, aż paznokcie wbijają mu się w skórę.

— Gdybym mógł, zabiłbym ich. Spalił wozy, wyrznął wszystkie ich konie, żeby patrzyli na to i płakali. Zdrajcy... przekłęci...

Brakuje mu słów, więc spluwa na ziemię i rozciera płwocinę stopą.

— Od dziś będę wojownikiem Klanu Złamanego Kła. — Takie słowa w ustach dziesięcioletniego chłopca mogłyby wywołać uśmiech,

gdyby nie jego oczy. — Będę w bitwie nosił ozdoby mojego wuja i jeździł konno. Nazywam się Amureh.

Kiwają głowami. Gdy skacze się głową naprzód z urwistego brzegu do rzeki, nie można zatrzymać się w locie.

— Wuj powiedział, że dostaniemy część ich ziem. A jeśli spróbują na nie wrócić... Będę czekał.

Wyjmuje nóż i głęboko nacina wewnątrz prawej dłoni. Zaciska pięść i wygląda to tak, jakby wyciskał krew z powietrza.

— Zostanie blizna. — Jedna z dziewczynek patrzy na niego z uwagą.

— Wiem. I za każdym razem, gdy zacisnę dłoń na broni, będę pamiętał. Rozumiesz?

— Tak.

Część I
Smak żelaza

Rozdział 1

Głębokie doliny mają to do siebie, że są pokrzywdzone, jeśli chodzi o światło. Cień zalega w nich jeszcze długo po tym, gdy równiny czy płaskowyże wygrzewają się już w promieniach słońca, a wilgoć po porannej rosie, która gdzie indziej znika w kilka chwil, tu potrafi utrzymać się przez wiele godzin. Zwłaszcza przy południowo-wschodnim krańcu takiej doliny, w pobliżu jednego z licznych w tej okolicy strumieni. Ubrania, choćby suszone przez cały dzień i schowane w natłuszczone sakwy, rankiem są wilgotne i drażnią człowieka nieprzyjemnym, lepkiem chłodem. Trzeba nieustannie pilnować, by rzemienie, pancerze, buty, pochwy mieczy i szabel, pasy i inne skórzane części ekwipunku były należycie impregnowane, bo nie ma gorszej rzeczy niż kilkudniowy patrol w butach, które zaczynają cię ocierać.

Kenneth nigdy nie wybrałby dla swoich ludzi takiej okolicy na kwatery. Cztery szałas, postawione chyba jeszcze przed ostatnią wojną z koczownikami, miały charakter aż nadto tymczasowego schronienia, na dodatek zbudowano je w miejscu, gdzie słońce zagląda tylko na kilka godzin w ciągu dnia,

co odcisnęło na budowlach swój ślad. Pleśń, porosty i mchy dokonały radosnej inwazji na drewno, część desek znikła, a z podłogi – jeśli można tak nazwać ubitą glinę – kielkowały tu i ówdzie chwasty. Gdy więc miesiąc temu żołnierze Szóstej Kompanii dostali rozkaz, by się tu przenieść, nie tyle naprawili, ile odbudowali szalaśy, łątając dachy, ubijając na nowo klepiska i utrzymując dzień i noc ogień na paleniskach, by osuszyć ściany, najlepiej jak się dało.

Mimo wszystko wilgoć towarzyszyła im niemal przez cały czas.

I chłód. I irytacja.

Niebo zaczynało się delikatnie różowić, za godzinę szczyty na wschodnich krańcach doliny powinny posmakować słońca, a cały nieboskłon przybierze kolor zimnego błękitu, tak jasnego, jakby był półkulą wypolerowanej do połysku stali. Dopiero gdy słońce wynurzy się całkiem znad horyzontu, świat przywdzieje normalne barwy – biel śniegowych czap założonych przez szczyty, czernie i szarości skał pod nimi, ciemną zielenią iglastych lasów porastających niższe partie gór i nieśmiałą zielenią wczesnowiosennych traw w dolinach. Kolory dominujące w Olekadach dawały się zliczyć na palcach obu rąk.

Przynajmniej maskując się, nie trzeba zbyt kombinować.

Kenneth powoli, nie wykonując gwałtowniejszych ruchów, spojrział w lewo, potem w prawo, dał sygnał. Widział dwóch z trójki pozostałych wartowników, obaj unieśli dłonie w górę.

Wszystko w porządku.

Dowódca ostatni idzie spać, a pierwszy wstaje, ta reguła Górskiej Straży była jedną z tych niepisanych, odwiecznych i niewzruszonych, których przestrzegał konsekwentnie i bez żadnych ustępstw na rzecz zmęczenia czy wygody. Lecz miał i drugą, bardziej osobistą – dowódca trzyma wartę ze swoimi żołnierzami. To była jego zasada, od której ostatnio Varhenn i pozostali dziesiętnicy próbowali go odzwyczaić. Bo to zły nawyk jest – mówił zawsze jego najstarszy podoficer. Jeśli

bowiem ktoś naprawdę spróbuje nas podejść nocą, to wartownicy mogą pierwsi dać gardła i kompania zostanie bez dowódcy. Więc Kenneth powinien spędzać nocę w szałasie, prawda? Ale porucznik, zazwyczaj skłonny słuchać rad Velergorfa, tym razem przypomniał wszystkim, że ma w sobie trzy czwarte wessyrskiej krwi.

Uparł się.

Bo w Belenden, tysiąc mil na zachód stąd, żaden z jego żołnierzy nie pomyślałby nawet, żeby coś takiego zaproponować. Kenneth razem z nimi stawał na warcie, czał się w zasadzkach, walczył w pierwszej linii. Z drugiej strony – ta myśl była trochę kwaśna – jak się ma trzydziestu dziewięciu ludzi, to się ma tylko pierwszą linię.

Wokół szałasów rośło trochę krzaków, kolczastych krzewów i małych drzewek. Nie kazał ich wykarczować, bo do ściany lasu mieli ledwo pięćdziesiąt jardów, więc lepiej nie ułatwiać sprawy potencjalnym strzelcom. Poza tym wartownicy mogli się wśród nich przyczać, zastygnąć nieruchomo, rozpląnąć w tle. Tak jak on teraz, przykucnięty, w płaszczu obwieszonym gałązkami i obsypanym zeszlórocznymi liśćmi, w półmroku przedświtę praktycznie niewidoczny.

Polujemy, pomyślał. Sami nie wiemy na co, ale zastawiamy sidła, mając cichą nadzieję, że to, co się złapie, okaże się zającem, a nie niedźwiedziem. Bo to jest w naszej naturze: gdy nadchodzi niebezpieczeństwo, nie chowamy się w zamkach i za palisadami, jak tutejsza szlachta, tylko zastawiamy pułapkę. Bo na sarny polujesz z nagonką, a na górskiego lwa z przynętą. Bo...

Uniósł lewą dłoń.

Wszystko w porządku.

O nogę opierał mu się ciepły ciężar. Kenwa – drugi w hierarchii psów kompanii – wyglądał, jakby spał, lecz postawione uszy i lekkie drgnięcia mięśni świadczyły, że czuwa. Bergh Maws, odpowiedzialny za psy kompanii, potrafił je układać

jak nikt. Zwierzęta były członkami oddziału niemal na takich samych prawach jak ludzie, ciągnęły sanie, tropiły, walczyły, stały na warcie, nawet pobierały żołąd. Co miesiąc z kasy pułku kompania dostawała kilka orgów na dodatkową karmę. Kilka orgów to koszt połowy krowy, ale tuzin wielkich, ważących po sto pięćdziesiąt funtów psów poradzi sobie z taką ilością mięsa bez żadnych problemów. Lecz tylko głupiec – i to głupiec pozbawiony wyobraźni – próbowałby oszukiwać, oszczędzając na nich. Żle odżywiony i zaniedbany pies to pies chory. A chory pies to zwierzę ospałe, niemrawe i słabe. Psy Szóstej Kompanii należały do najbardziej zadbanych w pułku i odpłacały niewzruszoną wiernością i posłuszeństwem, co obecnie miało szczególne znaczenie.

Od trzech miesięcy w górach ginęli ludzie.

Zaczęło się w połowie zimy. Ktoś wyszedł z domu i nie wrócił, kilku kupców, którzy wybrali się saniami w krótką podróż po wioskach w północnej części Olekadów, przepadło bez wieści, trzech myśliwych zastawiających sidła na okryte zimowym futrem lisy nie pojawiło się w umówionym miejscu. Na początku nikt nie łączył tych spraw, w górach, w każdym górach, mogły się zdarzyć dziesiątki rzeczy, zdolne wysłać duszę człowieka do Domu Snu. Lawiny, bandyci, górskie lwy, lód na rzece, który nagle pęka pod stopami, pechowy upadek kończący się złamaniem karku. Nic niezwykłego.

Lecz potem znaleziono ludzi Saenoha.

Saenoh Czarna Gęba był jednym z nielicznych bandytów, którzy ośmielali się pokazywać bliżej niż trzydzieści mil od zamku Kehloren. Większość zbójów wobec zwiększenia liczebności Górskiej Straży w tych okolicach wyniosła się na północ lub południe, ale ten nie. Uparł się, i tyle. Jedni twierdzili, że miał w jednej z pobliskich wiosek kobietę i jakieś dzieci, których nie chciał zostawić w obawie przed zawistnymi sąsiadami, według innych był po prostu głupi. Tak czy inaczej,

gdy ci zawistni sąsiedzi dali znać władzom, gdzie ukrywa się banda, do wskazanych jaskiń posłano dwie kompanie Straży.

Kenneth nie brał udziału w tej misji, jego oddział jako jeden z nowych ograniczał się do przepatrywania najbliższej okolicy, zapoznawania z terenem, odnajdywania i uczenia się na pamięć tajnych szlaków i ścieżek. Ale ci, którzy wrócili... plotki o tym, co znaleźli... o ludziach Saenoha, których ktoś ukrzyżował, przybijając do ścian jaskini żelaznymi hufnalami, wbitymi z taką siłą, że nie dało się ich wyjąć ze skały.

Czternastu bandytów. Podobno nie było śladów walki. Podobno dwóch jeszcze żyło. Podobno tropiciele stracili ślad zabójców po kilkudziesięciu krokach, a wojskowy czarodziej nie potrafił nic odczytać.

Plotki i mrozące krew w żyłach opowieści – tylko tyle zostało, bo obie kompanie biorące udział w tej akcji natychmiast wysłano na południe gór, do najbardziej oddalonej od zamku warowni. I podwojono liczbę patroli w okolicy.

Ale to nie pomogło. W ciągu następnych dwóch miesięcy znikło pięć oddziałów Górskiej Straży, kolejnych pięć ostatnio. To nie były duże oddziały, najwyżej kilkunastoosobowe, wysłane w celu sprawdzania stanu górskich szlaków i kontaktowania się z odleglejszymi placówkami, ale w żaden sposób nie dało się wyjaśnić ich zniknięcia oraz faktu, że na razie nie odnaleziono żadnego ciała, choć wszyscy spodziewali się, że wiosenne roztopy wyjaśnią zagadkę.

Pułki Pierwszy, Dziewiąty i Dwudziesty Szósty Górskiej Straży tworzyły tak zwany Regiment Wschodni, od lat oficjalnie nazywany Bękartami Czarnego, i w przeciwieństwie do pozostałych pułków Straży miały nieco inne metody działania. Olekady były długie, lecz stosunkowo wąskie, na mapach wyglądały jak zaciek na ścianie albo stalaktyt zwisający ze sklepienia. Nie dało się ich kontrolować tak, jak okolic Belenden – gdzie funkcjonował jeden pułk, jedna główna siedziba i patrole rozsyłane z niej we wszystkie strony.

Twierdza Kehloren znajdowała się niemal w połowie gór, a żeby mieć pieczę nad ich północnym i południowym krańcem, dowództwo utrzymywało w tamtych okolicach silne warowne obozy. Zimą między nimi a główną siedzibą regimentu krążyły patrole Straży, które najczęściej korzystały z psich zaprzęgów. Przenoszono rozkazy, wieści, leki, transportowano rannych i chorych, których nie dało się wyleczyć na miejscu. Kawer Monel, dowódca regimentu, uważał, że taka aktywność nawet w czasie najsroźszej zimy utrzymuje ludzi i zwierzęta w dobrej formie i daje świadectwo, że Góraska Straż czuwa.

Ostatnie trzy miesiące – strata ponad stu ludzi i prawie dwustu psów – udowodniły, że w Olekadach pojawiła się nowa siła, z którą należało się liczyć.

Potem nadeszły wieści, szybko potwierdzone, że ktoś wymordował załogi kilku wież strażniczych, którymi miejscowa szlachta tak chętnie ozdabiała granice swoich posiadłości. Obsadę posterunków znajdowano w większości martwą, a tych, którzy przeżyli, zostali straszliwie okaleczeni i zawsze próbowali później popełnić samobójstwo. Pojawiły się też plotki, że w niektórych wioskach i osadach zginęły całe rodziny.

Zniknięcia i mordy, mordy i zniknięcia. Nikt nie miał wątpliwości, że obie te sprawy łączą się, że stoi za nimi ta sama siła, i to nie byle jaka, bo żeby wyprowadzić w pole tropicieli Górskiej Straży, ich psy i wojskowych czarodziejów, trzeba było sporych umiejętności. Nawet miejscowe Szczury rozkładały ręce, choć – jak zaraz po przybyciu na miejsce wyjaśnił Kennethowi jeden z wyższych rangą oficerów – Wywiad Wewnętrzny miał tu zawsze mało ludzi. Okoliczną szlachtę uważano za tak wierną Cesarzowi, że Szczurza Nora nie widziała powodu, by utrzymywać w Olekadach większy garnizon. Wszyscy zatem byli skazani na plotki, podejrzewania i insynuacje. A te zamieniały całą okolicę w stodołę wypełnioną po dach sianem, czekającą na dziecko z krzesiwem.

Szczyty na wschodnim krańcu doliny zaróżowiły się, a niebo przybrało kolor stali z błękitnym połyskiem, znak, że czeka ich kolejny piękny dzień. Kenneth poruszył się lekko, odpowiedział na sygnał swoich ludzi, rozluźnił. Wyglądało na to, że znów nic się nie wydarzy. Sam nie wiedział, czy cieszy go to, czy martwi. Mimo iż mieli już okazję badać ślady napastników, nawet Wilk nie zdołał wiele z nich wyczytać. A czekanie na walkę z czymś, czego się nie zna, jest jedną z najgorszych rzeczy dla żołnierza. To dlatego, gdy miesiąc temu dostał rozkaz, by opuścić twierdzę i zakwaterować kompanię w tych opuszczonych szałasach, przyjął go niemal z ulgą. Miejsce było kiepskie, ale lepiej, że Szósta będzie działać, że spróbuje przejąć inicjatywę, choćby tylko zastawiając pułapkę z sobą w roli przynęty, niż gdyby miała tkwić w twierdzy i odliczać czas do zniknięcia kolejnego patrolu.

Leżący u stóp porucznika pies zastrzygł uszami i obnażył zęby, nie wydając jednak najmniejszego dźwięku. Zza najbliższego krzaczka wybiegł zając, zatrzymał się, stanął słupka, rozejrzał. Kenneth uśmiechnął się pod nosem. Jeśli nawet zajace nas nie wyczuwają, pomyślał, to znaczy, że nas tu nie ma. Że jesteśmy częścią tej polany, tak jak ziemia, krzaki i strumyk. I że jesteśmy cholerną Górską Strażą i żadne kropki na mapie tego nie zmieniają.

Kropki na mapie. To był główny powód, dla którego kilkuset żołnierzy od miesiąca zajmowało pozycje wokół twierdzy. Przy każdej kropce – oznaczającej wymordowaną załogę wieży, rodzinę górali czy zaginiony patrol – znajdowała się data. Trzy miesiące temu; dwa; półtora; miesiąc. Im bliżej Kehlrenu postawiono kropkę, tym data była świeższa, a kropek więcej. Ostatnia, sprzed kilku dni, znajdowała się ledwo pięć mil od zamku. To była wieża strażnicza, pięciu ludzi utopionych w beczkach i szósty z wylupionymi oczami i obciętym językiem. Pięć mil! Godzina szybkiego marszu, pół godziny truchtu. Pod samym nosem Czarnego Kapitana.

Kawer Monel prawie dostał szału, gdy się o tym dowiedział, i na litość Pani, Kenneth wcale mu się nie dziwił. To wyglądało prawie jak prowokacja, prztyczek w nos, tym bardziej że tego, który przeżył, odprowadzono pod więz i uwolniono. I rzecz jasna napastnicy nie zostawili żadnych śladów. Porucznik do tej pory pamiętał minę Wilka. Cawe Kaln miał świadomość swoich ograniczeń i przyjmował do wiadomości, że może zgubić trop, ale zawsze istniały ku temu konkretne powody. A to był już trzeci raz, gdy ślad rozpływał się w powietrzu, więc najlepszy tropiciel kompanii zaczął chodzić sfrustrowany.

Oczywiście istniało proste i logiczne wyjaśnienie. Jeśli bez śladu ginie mniej więcej kompania Straży, jeśli odnalezione ofiary nie stawiały oporu, a napastników nie dało się wytropić, to wszystko wskazywało na używanie magii. A okrucieństwo mordów sugerowało kogoś opętanego przez Moc.

Szósta Kompania miała już do czynienia z szalonymi czarownikami, lecz to, co teraz się działo, wydawało się zbyt... wyrachowane. Nawet te kropki na mapie, gdyby je połączyć według dat, utworzyłyby coś w rodzaju spirali. A w jej centrum znajdował się zamek Kehloren.

Bardziej oczywistego rzucenia wyzwania Górskiej Straży nie można było sobie wyobrazić.

Szarak stał i rozglądał się oczyma jak czarne, szklane paciorki, po czym opadł na cztery łapy i pokicał dalej. Tak, Szósta była naprawdę dobra w przygotowywaniu zasadzek.

I o to właśnie zapytał Kennetha Kawer Monel, gdy miesiąc temu szukał oddziałów, które miałyby otoczyć twierdzę dodatkowym kordonem ochronnym – czy dacie sobie radę na zewnątrz? Spirala jeszcze się nie wyłoniła z kropek na mapie, lecz dowódca Regimentu Wschodniego zapewne już czuł, co się święci. Poza tym istniała stara wojskowa zasada, że jeśli nie wiadomo, co się dzieje, trzeba znaleźć ludziom cokolwiek do roboty, więc kilka kompanii szybko wylądowało w prymityw-